Cwi Hiler

Sklep ojca[1]

Spędziłem w Kolnie tylko kilka lat życia. W wieku 13 lat już opuściłem rodzinny dom i wyjechałem uczyć się w różnych miastach. Oto więc wspomnienia z pierwszych lat życia i odbicie obrazu miasteczka z tamtego czasu, tak jak to wyglądało z perspektywy oczu dziecka.

Pierwsze wspomnienia pochodzą ze sklepu i domu moich rodziców. [Jakób Hiller ur. 1883 Chorzele i Leja ur. 1881, Kolno], który znajdował się w narożniku ulic Gromadzyńskiej i Kościelnej. Sklep był wciśnięty w jednym rogu rynku kwadratowego placu targowego i wyróżniał się szyldem głoszącym „Sprzedaż szkła, porcelany, lamp i naczyń kuchennych", a dodatkowo obrazów, lamp naftowych i temu podobnych. Już jako chłopiec asystowałem podczas targowania się o cenę towaru w sklepie. Przed moimi oczami przewijała się galeria rozmaitych typów, którzy tworzyli klientelę naszego sklepu. Poznawałem zwyczaje targowania się, usłużności, form kupna na kredyt i wszystkie inne tajniki handlu w mieście.

Towar, rozumie się, był sprowadzany z Warszawy. Ojciec najczęściej wyjeżdżał z domu w sobotę wieczorem lub w niedzielę rano. Zanim pojawiło się połączenie autobusowe z Kolna, środkiem transportu był powóz Mosze Jankiela Lubela, który toczył się przez wiele godzin, nim dotarł do Łomży. Zrozumiałe same przez się, że tatuś nie był jedynym pasażerem, ponieważ u dorożkarza rezerwowała sobie miejsce stała grupa klientów spośród handlowców, którzy lwią część swojego czasu trwonili na kursowanie drogami do Łomży lub do różnych okolicznych miasteczek. Z Łomży ojciec kontynuował swoją podróż do Warszawy pociągiem i przyjeżdżał na nocleg na ulicę Nalewki, tak jak i inni kupcy z prowincji, którym Warszawa służyła jako centrum zaopatrzenia. Zanim wybrał się w podróż, matka zaszywała wewnętrzne kieszenie płaszcza, w nich bowiem chowane były pieniądze. W istocie w większości wypadków nie stanowiło to zabezpieczenia przed typowymi warszawskimi złodziejami rozcinającymi kieszenie z pieniędzmi. Ale błogosławionej pamięci tatuś chwalił się, że jak dotąd nic takiego mu się nie przytrafiło.

[1] Tłumaczenie: Piotr Nowacki, Kolno 2016, z języka hebrajskiego na podstawie książki „Sefer zikaron le-kehilat Kolno" (*Kolno memorial book*), Editors: Aizik Remba and Benjamin Halevy, The Kolner Organization and Sifirat Poalim, Tel Aviv 1971, s. 51–54). Tekst ukazał się w: „Zeszyty Kolneńskie. Almanach społeczno-kulturalny Towarzystwa „Jan z Kolna", Kolno 2016, grudzień, nr 11.

W porze zimowej podróżowano saniami. Zważywszy na srogie mrozy, podróżni byli opatuleni grubymi futrami. Sanie sunęły wzdłuż miasteczek i wsi, które tonęły uśpione w całkowitej ciszy pod białym okryciem śniegu, a jedynymi dźwiękami był rytm brzęczących dzwoneczków przypiętych do szyi biegnących koni. Pamiętam, że kiedy emigrowałem do Izraela, opuściłem Kolno w sobotę wieczór (po skończeniu szabatu) w ostatnich dniach stycznia 1933, jadąc właśnie saniami zaprzężonymi w konie, jako że z powodu ciężkiej zimy wstrzymany został ruch autobusów.

Ojciec wracał do domu we środy, żeby zdążyć stawić się w sklepie na cotygodniowy targ przypadający w czwartek. Towary nadchodziły kilka dni później, przeważnie szóstego dnia [czyli w piątek] w skrzyniach rozmaitej wielkości, a ja pomagałem ojcu je otwierać, wypakowywać i układać na swoje miejsce w magazynie. Nie była to praca lekka, niemniej naprawdę zasługująca na miano pożytecznej, ponieważ całemu naszemu domowi zapewniało to podstawę finansowego prosperowania. Czego nie da się powiedzieć, ku naszemu ubolewaniu, o części innych rodzin w mieście, gdzie konkurencja w handlowaniu decydowała o utrzymaniu.

Dzień targowy. Od wczesnych godzin poranka słychać było turkot furmanek okolicznych wieśniaków, którzy przywozili do miasta płody rolne, zapełniając cały plac targowy. Brakowało kawałka wolnego terenu do tego stopnia, że intruzi tłoczyli się z braku miejsca na bocznych ulicach. Był to na ogół dzień znacznego utargu w sklepie, gdzie każdy rolnik kupował – po sprzedaży swoich produktów – jakiś sprzęt gospodarstwa domowego: lampę naftową, szklane klosze do tych lamp i temu podobne. Nawet dla chłopskich dzieci tu kupowano kałamarze. Naczyniami do picia były przeważnie kubki. O ile dobrze pamiętam, kupowano łyżki, widelce i noże reklamowane przez popularne komiksy dla domów. Niektóre sztućce służyły mniej lub bardziej całej rodzinie.

Sądziłem wtedy, że sklep mojego ojca był jedynym w swoim rodzaju w mieście. Nie pamiętam, aby był tam sklep o porównywalnym zróżnicowaniu asortymentu wszystkiego, co potrzebne dla domu. Choć oczywiście część artykułów można było również zdobyć w innych sklepach, zwłaszcza jeśli chodzi o sprzęt elektryczny, po tym jak pojawiła się sieć elektryczna w naszym mieście, co miało miejsce, jeśli się nie mylę, w roku 1924. Pierwsze dostawy prądu pochodziły z generatora w młynie motorowym Bittnerów; jednym z pierwszych klientów, którzy dostali dostęp do sieci prądu, była Rykel Łapczyńska, właścicielka piekarni, która jak wydaje się była też ważną klientką w kwestii mąki pozyskiwanej z ich młyna. Przypominam

sobie, że pierwszego wieczora poszliśmy wszyscy patrzeć na cudo nowoczesnego oświetlenia, które w przyszłości miało zastąpić lampy naftowe.

Tak to przez wiele lat rodzice konkurowali z innymi sklepikarzami miasteczka. Jednakże powód o wiele bardziej zaciętej rywalizacji pojawił się wtedy, kiedy mianowicie rozmaici obwoźni sprzedawcy artykułów gospodarstwa domowego zjeżdżali na rynek w dni targowe i w wybranych tygodniach przed świętami. Byli to drobni handlarze wędrujący z miejsca na miejsce z ich wózkami straganów osobliwości i utrzymujący się tylko z handlu wędrownego. Rzecz zrozumiała, przybywanie ich przed odpustami powodowało spadek dochodów i psuło w pewnym sensie cały „sezon" w momencie, kiedy spodziewano się tego najbardziej. Mieliśmy zatem do wyboru albo odstąpić jakąś miarę zysków handlarzom obwoźnym, albo do nich dołączyć. Dlatego my sami, ojciec i ja, udawaliśmy się na rynek z towarami, a dodatkowo przy sprzedaży w sklepie pozostawała matka.

Opisałem wam, że szanujący się kupiec, jakim był mój ojciec, był zmuszony do tłoczenia się w rynku pośród kroci stoisk i miał do czynienia ze wszystkimi praktykami handlowymi sprzedawców z ich towarami na targu i wszystkim, co się z tym wiązało. Jako chłopiec służyłem mu pomocną ręką. Pilnowałem jako „ochroniarz", ażeby nie kradziono towaru rozłożonego na blacie stoiska i wokół niego. Nie należało to wcale do rzeczy łatwych wyciągać z magazynu towar na rynek i później odstawiać go wieczorem do sklepu. Pamiętam, że działo się to z powodu poszukiwania innego źródła utrzymania na życie. Czy było to coś w rodzaju „metody kompensacji" wobec sprzedawców obwoźnych, naruszenia granic terenu handlu w mieście, uważanego jakby za monopol zarezerwowany przede wszystkim dla samych sklepikarzy miejskich?

Jasne, że taki handel nie mógł obejść się bez sprzedawania na kredyt. Bez funduszy nie ma mowy o przetrwaniu, uważam, że dotyczy to każdej branży handlowej, w sytuacji, gdzie na płacenie gotówką w większości dni roku tylko wyjątkowo stać było część aryjskich rodzin w Kolnie. Oprócz księgowania należności do zapłacenia, których naliczaniem zajmowała się matka, ktoś musiał iść i egzekwować spłaty. Matka wysyłała więc mnie w każdy piątek, abym po powrocie ze szkoły w charakterze „wysłannika przykazania uczciwości" pobierał spłaty długów. Przechodziłem zatem z jednego na drugi kraniec Kolna z rejestrami zadłużeń w ręce, kołatając w odrzwia dłużników. Było to nieporównaną sposobnością, aby zapoznać się z mieszkańcami miasta zarówno z bogatymi, jak i biednymi, z ich sytuacją finansową, która odzwierciedlała ich możliwości co do uregulowania długu (wymazanie z rejestru ludzi winnych spłaty odnawiało możliwość następnego brania „na kredyt"). Wiedziałem, że woleli „po

żydowsku czekać na ostatnią chwilę", stąd trzeba było wracać do większości z nich co tydzień, gdyż spłacali dług raczej w małych ratach, zamiast spłacić go od razu w całości.

Przez cały czas moi rodzice próbowali zwiększyć „pole działania" w handlu i dodawali regularnie nowy dodatkowy asortyment na sprzedaż. Nadmieniłem już o artykułach sprzętu elektrycznego. Pamiętam, że w pewnym okresie stała się bardzo popularna sprzedaż rzeźb z porcelany, z gipsu lub z brązu. Były to wyroby ekskluzywne, które służyły – jeśli można tak to nazwać – wyłącznie do ozdoby. I samo z siebie oczywiste, że marża pobierana od tego typu towaru mogła być o wiele wyższa od tej, którą doliczało się innym artykułom. Próżne gospodynie domowe miały wyjątkową słabość do kupowania tych figurek. Jedną z nich byłą Etka Urwicz (z domu Stązki [Stonzki]), mająca swój dom na ulicy Czerwińskiej w stronę Wincenty, uważany za jeden z najbardziej wystawnych w mieście. Owa chęć gustowania w rozmaitych wytwornych figurkach nie znała granic. Bariera finansowa przeciwko zrealizowaniu tej ambicji nie wchodziła w grę, ponieważ tych, co ciągnęli zyski z przemytu różnych towarów do Niemiec, stać było na zafundowanie sobie całej „galerii" tych posągów.

Nasz właściciel domu [Żyd Burak] był typowym najemcą, tzn. takim, który zawsze czuje się stratny z powodu lokatorów. Żadne opłaty za czynsz, jakiekolwiek faktycznie uiszczaliśmy, nie czyniły mu zadość. Być może przyczyna tkwiła w tym, że sklep wyłącznie mieścił się w budynku. Co więcej, sam sklep był usytuowany na zbiegu dwóch ulic, z narożną fasadą, zwróconą do rynku targowego. Pamiętam, że kiedy zbliżał się koniec roku, odwiedzał nas właściciel domu, często obsesyjnie wchodząc i wychodząc. Według mnie była to charakterystyczna metoda w celu wywierania presji; przychodził też siedzieć w naszym mieszkaniu przez wiele godzin. Całymi wieczorami nie ruszał się z miejsca, chcąc podkreślić, że jest tu panem (faktem zaś było, że jedynie część posesji figurowała na niego). Takie czy inne szykany nie odnosiły skutku, choć powodowały zauważalne podniesienie czynszu w kolejnym roku.